



Kochani

KOCHANI... byliście pewnie tak zajęci swoim święconem, że sprawę napisania listu do Krasnoludków odłożyliście na czas późniejszy, prawda? I dlatego pewnie Krasnoludki otrzymały mniej liścików niż zawsze. Przybyło nam kilkoroz przyjaciół nowych z Daugawpilsu z Liepaji i spora gromadka z Jelgawy. Ciągłe jednak tego wszystkiego mało i mało. Musimy się wszysej znać. Bo, przecież aż wierzyć się nie chce, że z niektórych miast tak mało dzieci pisze, a z niektórych wcale. Czyżby tam nasza gazetka im się nie podobała? a może poprostu nie wiedzą, że my jesteśmy, co? jak Wy myślicie? Musimy przecież jakiś na to sposób znaleźć, prawda? Ja myślę że najlepiej będzie tak: każde z Was zapyta się w gronie swoich kolegów i koleżanek czy czytają „Krasnoludki“, o ile nie, to przysłacie do Redakcji ich adresy, a my wyślemy im numer okazowy bezpłatnie. No a jak otrzymają i przeczytają to napewno zaprenumerują, prawda?

W ten sposób zwiększy się nasza rodzinka przyjaciół i w ten sposób jeszcze się coś zrobi. A wiecie co? Oto dzięki temu że zwiększy liczba prenumeratorów pisma „Nasze Życie“, „Krasnoludki“ będą

mogły wychodzić co tydzień rozszerzone. Właśnie takie wielkie jak ten numer. Teraz narazie to będzie raz na miesiąc ale jak się wszysej razem z naszymi Mamusiami i Tatusiami postaramy to będzie co tydzień. Bo każdy z Was doskonale to rozumie, że osiem stroniczek to ogromnie mało. Trzeba przecież i z Wami pogawędzić i jaką ładną bajkę napisać i wierszyk i obrazek i rebus i zagadkę i jaką wesołą anegdotkę opowiedzieć, a tu na to wszystko tylko osiem stroniczek. A teraz to nawet chcemy otworzyć dział zuchów i wilczków. No więc tylko chęci dobre, mali przyjaciele.

I muszę jeszcze Wam za coś podziękować. Jesteście bardzo kochani, pomimo, że tak mocno zajęci byliście swoim święconem nie zapomnieliście jednak o tem ażeby przysłać i „Krasnoludkom“ i Krasnalowi życzenia świąteczne. Dziękuję wam wszystkim bo wiem że nawet Ci co nie pisali do nas napewno o nas myśleli, prawda?

Po świętach czekam dużo Waszych liścików, które mi opowiedzą jak spędziliście święta Wielkiejnocy.

Pozdrawiam Was serdecznie, Wasz przyjaciel Krasnal.



Jak ludzie zdobywali morze

Z początku zwyczajna kłoda drzewa służyła dzkiemu człowiekowi za łódkę, na której przepływał od wyspy do wyspy, odpychając się drągiem drewnianym. Była to jednak praca uciążliwa i niewygodna. Z czasem więc wprowadził udoskonalenie. Kłody zaczęto wydrążyć lub wypalać, drągi zamieniono na krótkie, szerokie wioselka. Powstało coś w rodzaju kajaka. Jeszcze dotychczas ludy, stojące na niskim poziomie kultury, posługują się, jako jedynym sposobem przenoszenia się z miejsca na miejsce kajakiem, na którym odbywają nawet dalekie i niebezpieczne wyprawy, jednak tylko w pobliżu brzegów. Na kajakach, budowanych z pretów drewnianych, obciążniętych skórą (jak na obrazku 1) Eskimosi puszczają się na dalekie połowania morskie na fokii.

Jednakże z wzrostem kultury nie wystarczały już ludziom takie przybrzeżne wyprawy. Zaczęli budować większe łodzie, mogące pomieścić liczniejszą załogę, która przy pomocy wiosel wprawiała je w ruch. Na takich łodziach Grecy i Rzymianie przepływali już morze Śródziemne, a na północy Europy skandynawscy Wikingowie Bałtyk, a nawet częściowo Atlantyk (rys. 2).

W Rzymie łodzie wiosłowe dochodziły do dużych rozmiarów, miały po 2 i 3 piętra, na których pod pokładami siedziały rządy niewolników i ci wielkimi wiosłami wprawiali w ruch te budowle, zwane galerami.

Z czasem, kiedy się przekonano, że

wiatr może też łódź popychać po wodzie, stawiano na górnym pokładzie maszt z żaglem (rys. 5).

Dopiero w wiekach średnich narody europejskie zaczęły udoskonalać okręty żaglowe i budować coraz większe. Były one jednak ciężkie i niezwinne, z żaglami wydetemami, jak balony (rys. 4). A jednak na takim okręcie Kolumb w końcu XV wieku dojechał do Ameryki, przejechałszy w poprzek cały ocean Atlantycki.

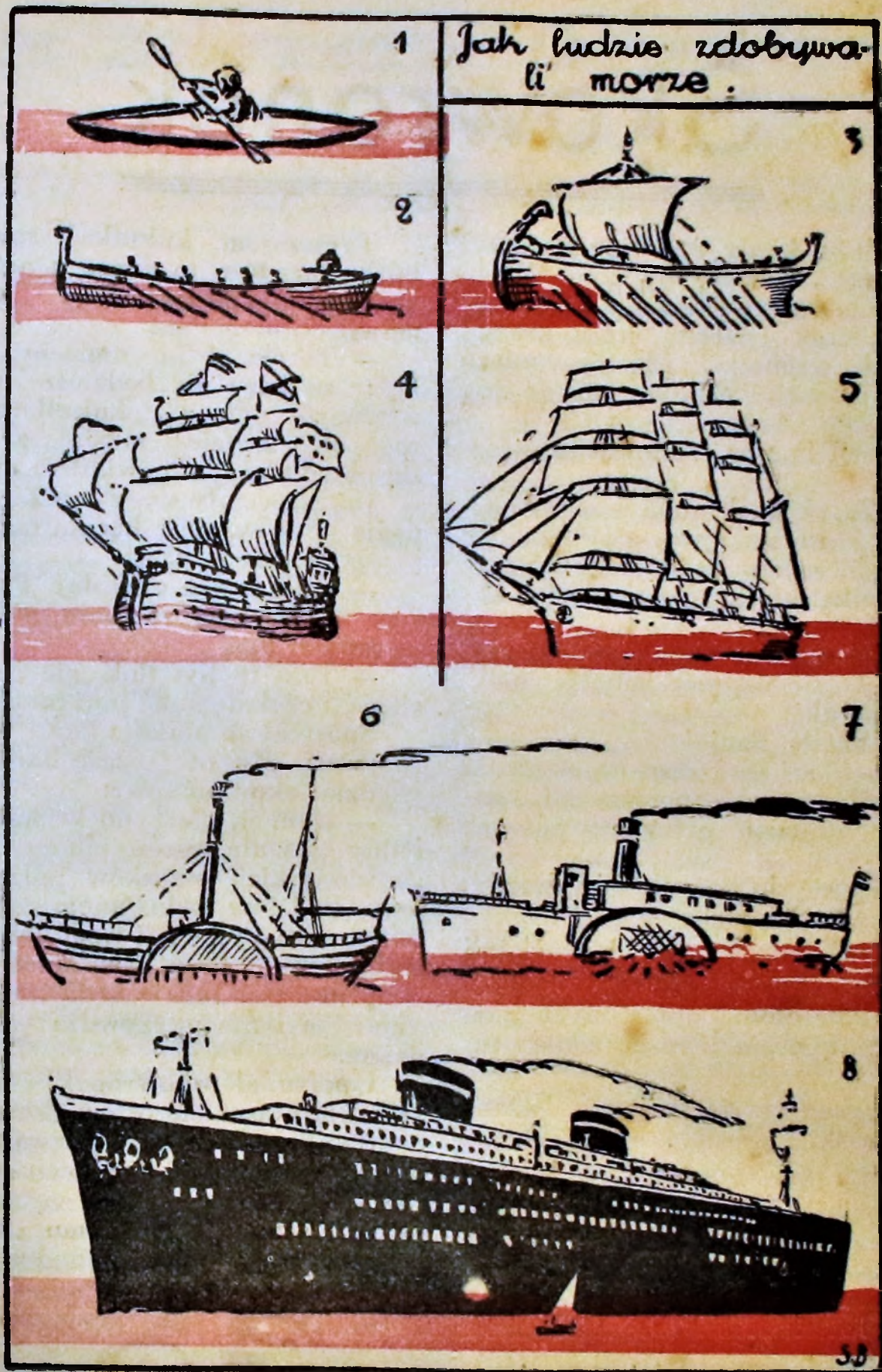
W wieku XIX-ym udoskonalono ostatecznie okręty żaglowe. Kadłuby zaczęto budować węższe, śmigłe, z ostrym dziobem, łatwo prującym fale, żagle mocno przyciągnięte stawiały większy opór wiatrowi, przez co szły szybciej i sprawniej. Ale wtedy właśnie zaczęły wchodzić w użycie statki poruszane parą. Były to jeszcze niezdarne kolowce, ze słabymi parowami motorami, z wysokimi kominami (rys. 6).

Z biegiem czasu formy zewnętrzne i motory zaczęto udoskonalać, osiągając coraz większą szybkość (rys. 7).

Dopiero wiek XX wprowadził w użycie, umieszczone z tyłu statku, śruby wodne, które wielkie parowce poruszają z daleko większą szybkością, niż koła.

W ostatnich czasach pobudowano wiele okrętów pasażerskich, kursujących między Europą i Ameryką, tak kolosalnych, że wielkością przewyższają największe gmachy miejskie, a pasażerowie, umieszczeni w ich wnętrzu, mogliby załudnić spore miasto (rys. 8).

Czy mówiles swoim kolegom o „Krasnoludkach“?



Lubisz czytać „Krasnoludki“,
a czy napisałeś do nas list?

Skowronek

W tym dniu, kiedy Pan Bóg stworzył wszystkie ptaki, zebrały się koło Niego nad wieczorem rzesze skrzydlate: jastrzębie i sokoly, kruki i wrony, sroki, kraski, pliszki i małe wróbelki. Eh, nie wyliczę wszystkich, ptasząt, jakie się tam do nóg bożych cisnęły!

I przemówił Pan w te słowa do ptaszków:

— Moje ptaszki, zebrałem was wszystkie, bo chcę każdemu z was ofiarować jakiś dar. Wybierajcie: kto z was otrzywać woli siłę, wielką, kto korolowe piórka, kto piękną głowę?

Zakolysały się, zaszumiały ptasie rzesze i wysunęły się naprzód sokoly, orły, jastrzębie i kruki:

— Daj nam siłę, Panie!

Więc Pan kładł im ręce na skrzydła i ptaki poczuły w sobie potężne siły, zamachały skrzydłami i pofrunęły w świat szeroki.

Przysunęły się do bożych stóp drozdy, słowiki, czyżce, wilgi, zięby:

— Głos daj nam Panie, śpiewakami chcemy być!

Dotknął Pan dłonią opierzonych gardziołek i nagle pieśniami rozebrzmiały całe niebiosa.

Teraz przysunęły się szczygły, bażanty, pawie, kraski i prosiły:

— Pięknych piór chcemy, Panie!

A Pan spełniał każdemu ptaszkowi jego życzenie. I w pysznym kolorowym upierzeniu leciały ptaszki w świat.

Tymczasem kukulka i sowa zaczęły bójkę toczyć o to, która z nich pierwsza podejdzie do bożych stóp. Surowo przemówił do nich Pan:

— To źle, że nie umiecie w zgodzie żyć; za karę nie będziesz nigdy miała własnego gniazda, kukulko-zazulo. Ty zaś, sowo, będziesz musiała zawsze kryć się przed słońcem i światłem dziennym.

Już rozleciały się wszystkie ptaki, a tu nagle wysuwa się z kąćka maleńka szara ptaszyna i cicho prosi:

— Mnie także głos daj, Panie!

— A czemu się wcześniej nie pokazałeś? — zapytał Pan.

— Taki tu był tłok, nie chciałem się cisnąć i czekałem, aż inni powiedzą swoje.

Spojrzał na ptaszka Pan i jasne oblicze rozjaśniło Mu się jeszcze bardziej. I powiedział skowronkowi:

— Dam ci, ptaszyno kochana, nietylko ładny głos, ale jeszcze ten dar, że będziesz ze wszystkich ptaszków ludziami najmiłszy. Będziesz zwiastunem najlepszej nowiny: wiosny, i wszyscy błogosławić będą ciebie. Rolnikowi śpiewać będziesz przy pracy, a ludzie będą strzegli twego gniazda i nie ukrzywdzą nigdy twych dzieci.

I pofrunął skowronek, i stał się najmiłszym ptaszkiem człowiekowi. A kiedy podfruwa aż do nieba, wydzwanając srebrzystym głosem, to znowu spada w dół, jak kula, rolnik odrywa się na chwilę od pracy i spogląda ku niemu z uśmiechem:

— Śpiewaj, boży śpiewaku!



Wielce zabawna i tkliwa historia o krasróludkach, radościach i smutkach

Krasróludki, jak wiecie już z dawnych baśni, jest to ludek, który wespół z nami, ludźmi, zamieszkuje ziemię, tyle, że od nas, ludzi, mniejszy i lepszy.

Żadnych tam u nich w krasróludziem państwie niema kłótni, kradzieży, waśni, ani wojen. Rządzą się mądrze, pracy mają dosyć, pieniędzy nie znają, a tyle posiadają radości i dobroci, tyle miłości, że nie tylko o siebie wzajem dbają serdecznie, ale i ludziom potrzebującym chętnie z pomocą śpieszą, skąd nazywają ich tak: Dobróludki.

Szkoda tylko, że niekażdemu człowiekowi dana jest możność zawarcia osobistej znajomości z Dobróludkami. Spotkania z dorosłymi unikają one w obawie, by nie zostały wzięte za jakieś dziwaczne stworzonka, nadające się do oglądania w Zoologu lub, co gorsza, w cyrku... Chętniej ukazują się dzieciom, ale najchętniej działają niewidocznie.

Czasami przecież wieść o nich dostanie się do jakiegoś huśniopisarza, który skwapliwie wierzy we wszystko, co dobre i piękne, choćby tego nigdy na własne oczy nie widział, i o wszystkim, co dobre i piękne, rozpowiada innym ludziom.

Dzięki temu i wy dowiecie się o pewnym zdarzeniu, które się stało w krasróludziem świecie, niedaleko was. Czytajcie proszę!

Było tak:

Miały krasróludki krasróludzkiego króla. Król ten nie tylko nosił staroświecką koronę i płaszcz gronostajowy, ale zupełnie nowoczesnie, sprawnie i mądrze rządził wespół ze swymi krasróludkami we wspólnem krasróludzkiem państwie.

Był on nie tylko ostatnim, umiłowanym przez poddanych królem, ale i pierwszym obywatelom państwa: pierwszy wstawał raniuteńko i pierwszy szedł spać wieczorem, pierwszy mył ręce przed każdym je-

dzeniem i pierwszy stawał do sportowych zawodów, choć miał już siwą brodę, bo ho! zuch był królisko na stadionie i niejednego młodszego krasróludka przeskoczył.

A jeśli się dowiedział, że gdziekolwiek w roślinnym, zwierzęcym, albo ludzkim świecie pomocy krasróludziej trzeba, na swoich ministrów i urzędników się nie oglądał, ale sam płaszcz purpurowego zakasywał, koronę pod pachę brał, żeby mu na oczy w pośpiechu nie spadała, i pędził ile tchu w królewskiej piersi! Zawsze na czas zdążył.

Oto, za co czcili go i kochały krasróludki, a z niemi wszyscy, którzy o istnieniu krasróludzkiego króla wiedzieli.

Trzeba jednak nieszcześćcia. Raz król przez nieuwagę (i krasróludkom, jak wiecie, się to zdarza), gdy był spocony nad jakąś ważną robotą, napił się zimnej rosy. Niedużo wprowadzie, bo sobie zaraz przypomniał, że tak nie można, ale już jeden łyk łyknął i to wystarczyło, żeby dostał nieborak kataru, chrypki i bólu głowy.

Choroba, nawet lekka, w późnym wieku niebezpieczna, zwłaszcza jesienią i przy takiej brzydkiej pogodzie, jaka w tym roku była.

Zafrasowały się wszystkie krasróludki. Król rad nie rad musiał wypić suszonych malin na poty i lipowego kwiatu z miodem na chrypkę, posmarował od kataru nos miętą i czeka, co powiedzą doktorzy.

A doktorów zeszło się przy łóżku królewskiem aż trzech: doktor wszech nauk lekarskich, pani Myszka Wszędobylska, specjalistka od chorób gardła, nosa i krtań, doktor Żaba Nadętska i nadworna higienistka, doktor Sowa Dziobalska.

Radzą, radzą, nie poradzić nie mogą. Udadzily wreszeie, żeby chory król leżał w łóżku dopoty, dopóki choroba nie minie, a jak minie, niech dalej król leży, żeby choroba nie wróciła.

Bardzo rozsądne było to rozporządzenie doktorskie, ale biedny król tak nudził się w łóżku bez ruchu i bez pracy, że straciwszy katar, chrypkę i ból głowy, zaczął tracić apetyt, schudł i sępspniał — słowem zrobił się całkiem do siebie nie podobny.

— Uhu! — myślą krasnoludki — nasz król z mniejszej choroby wpadł w większą. Któż mu teraz pomoże? Kto poradzi?

A! poradził i dobrze i mądrze krasnolud jeden, który przyszedł na królewskie pokoje nie proszony, nie wzywany. Doktorem nie był także, ale mieszkiał za młodych lat pomiędzy ludźmi u jednego, bardzo sławnego ludzkiego doktora. Otóż przekonał on się tam, że bardzo często najlepszym lekarstwem na chorobę bywa... radość.

— Trzeba króla czemś bardzo ucieszyć, a król odzyska swój dawny dobry humor i siły.

Zamyśliły się krasnoludki: czemby tu kochanego króla ucieszyć tak bardzo?

— Piernik mu kupić z migdałem — powiada jeden.

— Nie — mówi drugi, — król przecież ze starości zębów już nie ma, migdała nie będzie mógł zgrzyźć, zasmuci się jeszcze bardziej. Lepiej królowi czerwony balonik przynieść taki, za jakim przepadają dzieci.

— A! już! balonik! — krzyczy trzeci Krasnoludek. — Toć biedne królisko wychudło jak patyk, jeszcze go nam balonik porwie do góry i szukaj króla w polu!

Kiedy tak krasnoludki wszystkie się kłopotczą, ten krasnolud, co radził chorego radością leczyć, a sam zwał się Radusek, na taki pomysł wpadł:

— Nic króla tak nie ucieszy, jak kafel z pieca, szybka z okna albo gwiazdka z nieba.

— Ba — mówią krasnoludki — strasznie trudno o takie rzeczy, tego nawet najbardziej dobrzy rodzice wśród ludzi swoim dzieciom nie dają.

— Ludzie nie dają, a my królowi naszemu damy — Radusek na to. — I to z dziesięć gwiazdek odrazu.

— Z nieba?

— No, niezupełnie z nieba, ale z pod nieba, co na jedno wychodzi. A gwiazdki śliczne: srebrne, puszyste i... żywe. Tylko, że do nich sięgnąć trudno

— Ha — powiadają Krasnoludki. — Kiedy tak, to nas po te gwiazdki prowadź. A że je dostać trudno, nic to! Im cięższa będzie nasza ofiara, tem radość dla króla większa.

Wybrał Radusek z pośród krasnoludków dwóch najjęźszych zuchów: Wesolka i Śmieszka.

— Podróż to będzie daleka, hen precz, od naszego ogrodu przez łąki, przez pola, przez lasy, aż do górskiego kraju, gdzie skały wysokie, śniegiem wiecznym okryte dostają szczytami do nieba. Tak. Tam nam się trzeba dostać, a prędko.

Uradziły krasnoludki, że dla szybkości nie piczotą pójdą, jak to mają we zwyczaju, ale pojadą koleją.



...dźwigane zapasy z plecaków zgubili

O kolej nie było w ogrodzie trudno, bo właśnie dzieci, wyjeżdżając do miasta z początkiem roku szkolnego, zostawiły przez roztrzępanie (raz jeden, jak widziacie, zdarzyło się, że czyjaś wada może drugiemu przynieść pożytek) cały blaszany pociąg. Krasnoludki, uradowane, odczytały ze rdzy blaszane wagoniki, wyszorowały piaskiem blaszaną lokomotywę, ułożyły na trawie blaszane szyny i ru-t-utu! jadą, aż się kurzy. A co do końca blaszanych szyn, blaszana lokomotywa dojedzie, to krasnoludki z wagonów wylażą, szyny podnoszą, przed lokomotywą na nowo układają i ru-tu-tu! jadę dalej.

Tak przejechali pięć łąk, siedem pól, trzy lasy i stanęli w górskim kraju.

Stop! Tu już kolej na nic się nie przyda. Tu trzeba na własnych nogach się piąć. Ba, żeby tylko na nogach! na rękach także.

Góry skaliste. Skąły strome, wysokie do samego nieba. Wystarczy spojrzeć z dołu, żeby lęk obleciał, a co dopiero zacząć wchodzić!... Ale krasnoludki nie byłyby wuchami, żeby cofnęły się z drogi.

— Po zdrowie dla naszego króla kochanego!

— Po radość!

— Po gwiazdkę z pod samego nieba!

— Zoraz, zaraz — przestrzega doświadczony tatarnik Radusek swoich drogich towarzyszy Wesołka i Śmieszka. — Na taką wysokogórką wycieczkę musimy się odpowiednio wyekwipować. Poczekajcie chwilkę. Mam ja tu znajomego górskiego krasnoluda, co na halli świstaki pasie, on nam tatarniczego sprzętu pożyczycy.

Jakoż Radusek w mig wydostał dla siebie i dla swoich towarzyszy trzy pary mocnych bucików, ostremi gwoździami podkutech, pęk lin, bez których nie może się obejść żadna spinaczka i ostre ciupagi do rąbania stupał w zmarzniętym śniegu i na lodzie. (A plecaki, wyładowane jabłkami i orzechami, to już z ogrodu sami sobie przynieśli).

Ano dobrze. Teraz nasze krasnoludki do zdobycia szczytu gotowe.

— Marsz — marsz!

„W góry, w góry miły bracie!

Tam swoboda czeka na cię!” — śpiewa głośno przewodnik Radusek a Wesołek i Śmieszek jak mogą, tak mu pomagają, ale

niebardzo mogą, bo muszą uważać, gąźie nogi stawiać, żeby w przepaść nie runąć.

U! Nielatwa to droga po skalach się piąć. Aż tu tach, tarach! poślizgnął się któryś i towarzyszy za sobą pociągnął. Już-już-już o mało nie spadli, ale nie! uratowali się jakoś, linami o kamień zawadzwszy. Tyle, że wszystkie z trudem dzwigane zapasy z plecaków zgubili.

— Ano — źle, bo będzie głodno, ale i dobrze, bo iść lżej.

Spocili się, zmęczyli się. Stanęli, odpoczywają.



...I ja! — beknęło coś
(Dokończenie na str. 10-ej)

LEGENDA O DRZEWACH

Chodzili źli ludzie po lesie
i daremnie na Krzyż drzewa szukali
A las cały dygotał ze zgrozy
na widok toporów tych drwali...

I dotarli w samym sercu puszczy
do Dębu, co wieczność żył całą...
Jako wąża trawka na wichurze
nieznające lęku drzewo zdrząło.

I od lat tysiąca po raz pierwszy
odezwało się prośbą serdeczną:
„Nie chcę — wiecznie — być Krzyżem
dla Tego,
który światu przyniósł Prawdę Wieczną.”

Więc do Lipy poszli. Zaszumiała:
„Słodka jestem! Ptaszętom —
schronienie.
Pszczołom daję najwonnejsze miody,
a poetom — spokój i natchnienie...”

Inne drzewo na Krzyż sobie weźcie.
Nie tykajcie mię rękami brudnymi.
Nie mnie plamić Krwią niewinną Tego,
który Miłość zwiastował na ziemi...”

W gaj brzozowy poszli... Młode Brzozy
były takie białe takie czyste,
że źli ludzie nie śmieli ich zrąbać.
aby Krzyż z nich wyciosać, o Chryste!

I podeszli złoczyńcy ku Olchom.
Przesłaniała je mgła pęczków zielona.
Podnosiły pobożnie ku niebu
swych gałęzi rozmodlone ramiona.

„Precz odejdźcie!” — zaszumiały
Olchy —
i wstrząsnęła niemi groźna trwoga —
„Nie kalajcie nas krwią Syna Bożego
nas, co wznoszą swe ramiona do Boga!”

Więc szukali ludzie śmigłych Sosen.
Na pni rdzawych wyniosłej kolumnie
swoich koron zielonych sklepienie
podnosiły szumnie i dumnie...

Zaszemrały przerażone Sosny:
My z gałęźmi wiecznie zielonemi
nie możemy być krzyżem dla Tego,
który stał się Nadzieją tej ziemi...”

Wędrowali po lesie źli ludzie
i szukali ze złością i gniewem—
ale żadne drzewo być nie chciało
Męki Pańskiej nieszczęśliwem drzewem...

A gdy wieczór wracali do domu
napotkali jedno drzewo jedyne,
co na widok ich ze zgrozy nie drżało..
I zrąbali na Krzyż Pański — Osinę...

I przybili na tym Krzyżu Chrystusa.
Odkąd krople Krwi drzewo zbrzydzały,
odtąd trzęsą się wszystkie Osiki,
choć wiatr milezy, choć milezy las cały...

Gdy nastaje jesień, liść osiny
czerwienieje na pamiątkę wieczną
tej Krwi, która spłynęła przed laty
na Krzyż Pański strugą serdeczną...

Aż dzień sądu przyjdzie dla drzew
wszystkich,
Zadygoce Osina, zapłaczcie..
„Drżałam za mój grzech przez wieki całe..
Czyż pokuty kresu nie zobaczę?”

I odpowie jej Pan dobrotniwy:
Czas pokuty wszystkim odmienia.
Twoje drzewo, drżąca osiko,
dzisiaj stało się symbolem zbawienia...

I zaszumi Osina w podzięcie —
listeczkami zaszeleści drżącemi..
To, co było czynem nienawiści,
dzisiaj głosi miłość na ziemi!..

Widowisko dla dzieci

No, i tak jak Wam pisałem w n. 17 Krasnoludków, widowisko o Kasi co gąski pogubiła odbyło się w teatrze Polskim drugiego dnia Świąt. Ja na niem oczywiście byłem, żeby móc Wam to wszystko dokładnie opowiedzieć. Na początku odegrana była „Antena w karczmie Rzym”. Przed kurtynę wyszedł jeden pan i pytał dzieci czy wiedzą co to jest antena. Oczywiście, że wszystkie wiedziały, tylko jeden taki duży chłopiec z gimnazjum, powiedział, że on nie wie, ale wszyscy widzieli, że on tak mówi na żarty, żeby się z niego można było pośmiać. No i zaczęło się. Była i karczma Rzym i karczmarz, taki zły duch, co to ludzi kusi, i kot w butach. Przyszło do tej karczmy dwoje dzieci, to ten karczmarz chciał żeby te dzieci podpisały cyrograf, to on im wszystko da, i czapkę niewidkę, i siwka złotogrzywka, i lampę Aladyna, i chciał ich postraszyć, ale dzieci się nie bały, bo dziewczynka była harcerką i chłopiec też. I te czary też jakoś nie chciały słuchać karczmarza. Potem przyszedł do tej karczmy monter, taki co to radja zakłada i ten dopiero pokazał co to są prawdziwe czary. Nastawił radjo i słuchali jak to można siedząc w domu słuchać muzyki z tak daleka. Dopiero wtedy przekonał się karczmarz, jak jego czary są mało warte. I jak wszyscy już poszli sobie i przyszedł do niego Geńjusz lampy Aladyna to prosił, żeby zrobił z niego montera, bo już więcej ludzi straszyc nie chce. Potem na takim wozie z workami jechał chłop do miasta i był bardzo srogi i baby nie chciały wziąć wcale na wóz. Koń był bardzo śmieszny ruszał naprawdę kopytami jakby jechał. Kolo, to się jedno obracało to tylnie, a przednie czegoś nie chciało. Niewiadomo dlaczego. Potem był taniec, Mazur. Ślicznie tańczyło dwoje dzieci. Potem ten pan, co

to na początku pytał, czy dzieci wiedzą, co to jest antena, opowiadał bajkę. Ładna była. A dzieci na widowni, robiły i kogutów, i kaczki, i pieski, i kotki, zależy, co było potrzeba. A nakoniec było o tej Kasi, co to gąski pogubiła. Pamiętacie, jak Wam opisywałem, kiedyś, gdym był poraz pierwszy. Wtedy więcej mi się podobało. Tu jakieś wszystko było wielkie, i Kasia jakoś urosła i Jasio był taki duży, a wilk i pies to ledwo siedzieli we własnych skórach. Czarownica była tylko taka jakaś straszna. Gęsi i owce to były takie same. Ale ciekawie było porównać, którzy lepiej grali. Mnie podobali się ci, co to byli pierwszy raz. Ale wesoło było, tylko bardzo niedobrze, że tak mało dzieci. Na początku to wszyscy myśleli że przyjdą, tylko się spóźnią, i czekaliśmy na nich i czekali, ale wcale nie przyszli. Szkoda, bo przecież, jak na te widowiska dla dzieci będzie ich mało przychodzić, to teatr na drugi rok nic nie będzie pokazywał dzieciom, bo będą myśleć, że dzieci teatru nie lubią, a tak przecież nie jest, prawda?

Krasnoludki (te drukowane), które były w teatrze na widowisku, też bardzo smuciły się tem, że dzieci tak mało i mocno się dziwiły, dlaczego? No i nie mogły za nic sobie na to pytanie odpowiedzieć. A może wy wiecie, co? Napiszcie nam.



... O krasnoludkach radościach i smutkach

(Początek na str. 5-tej)

— Jak żyje, tak się nie spracowałem —
powiada Wesolek.

— Mniejbym się zmachał, żebym przez
cały dzień mrowkom igły sosnowe poma-
gał nosić — powiada Śmieszek.

— Ale za to spójrzcie co za widok z
tego szczytu — rzeczy zapalony taternik
Radusek. — Czyście coś podobnego wi-
dzeli kiedy tam u was, w dolinie?

I rzeczywiście. Widok ze szczytu był
nadzwyczajny. Nisko, nisko, pod samymi
nogami krasnoludków przesuwały się bia-
łe obłoki, to skrywając, to odsłaniając ha-
le i doliny, pełne pasących się owiec, sza-
łasów juhaskich... a dalej, jeszcze dalej i
niżej widać było całe wsie i miasteczko z
wieżami kościołka.

— Dziw! dziw! — szeptały zachwyco-
ne krasnoludki. — Cały świat pod nami,
a nad nami już tylko niebo.

— I ja! — beknęło coś niespodziewa-
nie nad samymi uszami krasnoludków.

Oberzały się wszystkie trzy, jak na
komendę, patrzą i oczom nie wierzą: tuż
nad nimi na wystającym skalnym cyplu
zwierzak jakiś stoi i potrząsa dumnie
zgrabnym, mocnym łebkiem.

... Sarna nie sarna.., Koza nie koza..
ki lichy?

— Bee! Kozica jestem do usług — pra-
wi zgrabny zwierz i dyga zrecznie mocną
przednią nóżką — Kozica skalna jestem.
Panowie turyści nie spodziewali się mnie
tu spotkać? Oho, nie ja jedna tu mie-
szkam. Jest nas całe stado. I nie dziw-
nego. Odkąd dzięki mądrym rozporzą-
dzeniu Czcigodnego Pana Prezydenta o
ochronie przyrody nie wolno bezkarnie na
nas polować, żyjemy tu w spokoju.

— Proszę, proszę. Niech panowie
turyści idą wyżej. A może służyć za prze-
wodnika? Znam wszystkie szczyty gór-
skie, jak własne dziesięć palców, to jest,
chciałam powiedzieć, jak własne cztery
kopyta — rzekła kozica.

Krasnoludki chętnie byłyby skorzysta-
ły z propozycji uprzejmej mieszkanki gór
ale okazało się, że kozica tak przyzwy-
czajona jest do olbrzymich skoków, iż
w żaden sposób nie mogła stąpać tak drob-

no, jak krasnoludki, a znów krasnoludki
nijak nie mogły nadażyć za jej susami.

Ot i świeży kłopot.

Ale trzeba przyznać, że Radusek był
krasnoludem prawdziwie doświadczonym.

— Kozico — powiada, — a nie mieszka
tu gdzie w pobliżu orzeł górski?

Kozica zmieszala się trochę.

— Mieszkać, mieszka, nawet siedzi tam
na przeciwległym szczycie, ale jeśli macie
do niego interes, to ja was pożegnaj. Ma-
ma zabroniła mi widywać się z orłem gór-
skim, zanim mi mocniejsze różki nie wy-
rosną.

Dygnęła zgrabnie nóżką, skoczyła w
bok i znikła.

A Radusek już dawał znaki orłu.



... Aż się krasnoludki poprzewracały
ze strachu.

Orzeł, wiadomo, wzrok ma prawdziwie orli, dostrzegł odrazu znaki krasnoludzkie, zaciekawiony machnął skrzydłami i . . . siadł obok naszej trójki tak nagle, aż się krasnoludki poprzewracały ze strachu.

Śmieszek i Wesołek nieśmiało patrzył na tego władcę gór, ale Radusek wie, że krasnoludki ze wszystkimi za pan-brat być mogą, więc nie traci rezonu i zaraz prośbę swą przedstawia:

— Mocny panie orle, bądź tak dobry i zanieś nas na swoich mocnych skrzydłach na najwyższy szczyt, ustaliśmy bowiem w drodze, a bardzo nam się śpieszy.

— Oh! — powiedział orzeł. — Szkoda w takim razie, że nie wybraliście się w tą podróż samolotem. Bylibyście już dawno na szczycie. No, ale mogę i ja was podwieźć. Musicie tylko zaśpiewać mi coś przez drogę. Bardzo lubię śpiew i muzykę, a w górach trudno o dobry patefon. Miałem wprawdzie radio, ale teraz huragan zepsuł mi antenę. No, proszę, siadajcie.

Roztoczył orzeł skrzydła; krasnoludki usadowiły się między piórami i na dany znak przez Raduska zaśpiewały zgodnie na trzy głosy:

— Jak to miło wieczór bywa,
kiedy do snu dzwonek wzywa,
bim, bam, bom!

Nie była to bardzo odpowiednia piosenka na taką chwilę, ale orłu podobała się, a o to tylko w tym wypadku przecież chodziło.

— Dziękuję — powiedział orzeł — i proszę zsiadać! Jesteście na szczycie. Dowidzenia — i odleciał, próbując nucić pod nosem:

— Bim, bam, bom... —

Tak więc nasza trójka jest na upragnionym szczycie. Wesołek i Śmieszek zaraz zadarli do góry głowy:

A gdzież te gwiazdki dla króla?

Ale Radusek zamiast w górę, na skały patrzy:

— O tutaj są, widzicie?

Spojrzeni i zobaczyli prześliczne, szczerosrebrne gwiazdeczki, rosnące w skalnej rozpadlinie.

Żeby było troszeczkę więcej miejsca, byliby fiknęli koziołka z zachwytu, ale tylko klasnęli w ręce:

— Cudo! Jeszcześmy takich pięknych gwiazdek nie widzieli. Chwytajmy je i wracajmy czempredzej!

Wszystko przewidujący Radusek miał ze sobą doniczkę, wsadzili w nią troskliwie zerwane gwiazdki i zaczęli namyślać się, jak teraz zejść na dół ze swoim skarbem.



— Takim rad!

Takim rad!



A za krasnoludkami w rozpadlinie skalnej siedziała Skalna Babka i śmiała się cichutko z ich kłopotu. Że jednak, choć pochodziła ze skały, serce miała miękkie, żal jej się zrobiło małych zuchów i postanowiła im dopomóc.

Właśnie nad górami przelatywały dzikie gąski. Skalna Baba zawołała na nie i gąski opuściły się przed samymi krasnoludkami.

Nie trzeba było im długo tłumaczyć, o co chodzi. W pięć minut Radusek ze zdo-
byczą siedział na gęsi przewodniczącej.

O północy dzikie gąski były już na dalekim jeziorze, a krasnoludki pukwały do królewskiej sypialni.

Król nie spał, był taki smutny, że nawet nie mógł się zdrzemnąć z tego smutku. Ale jak tylko na postawioną przy łóżku doniczkę z gwiazdkami spojrział, zaraz mu się oczy rozjaśniły i aż podskoczył pod królewską koldrę:

— Gwiazdki z nieba dostałem! Jakim rad!

A gdy na trzech zmęczonych, znużonych, ale wesołych krasnoludków spojrział, serce królewskie ogromną zabiło radością:

— Więc tak mnie kochacie, żeście dla mnie na tyle niebezpieczeństw się narażali, zuchy moje drogie? Niech was uściskam! Takim rad! Takim rad! — i królisko, jak z procy, wyskoczyło z łóżka.

Chwała ci, Boże, i trzem zuchom dzięki: już po królewskiej chorobie!

Trzeba cudowne wyzdrowienie uczcić wesoło. Zebrały się wszystkie wesołe krasnoludki dokoła wesołego króla. Ślicznym, srebrzystym gwiazdkom się przyglądają, podziwiają odwagę i wytrwałość trzech zuchów, którzy je w górach podniebnych zdobyli.

A wtem otwierają się drzwi i wchodzi Sierotka - Marysia, jedyna na świecie

dziewczynka, która o każdej porze i na każdym miejscu ma dostęp do krasnoludków i ich króla.

Weszła więc Marysia - Sierotka, pokłoniła się pięknie i tak powiada:

— Witajcie, panie królu krasnoludkowy, witajcie i wy, krasnoludki. Przysłał mnie tutaj pan starosta, bosłyszal że . . . że . . . — zająknęła się Marysia-Sierotka, nie wie, czy przestać, czy dalej mówić . . .

— Że co? — dopytują się nieskopojuite krasnoludki.

— Że... że., że ktoś zerwał wczoraj w górach naszych krzak najpiękniejszych szarotek

— Aaa... — szepnęły krasnoludki.

— Otóż szarotki są chronione rozporządzeniem dbałego o przyrodę, mądrego Pana Prezydenta i niszczyć ich, ani zrywać nie wolno.

Umilkła zakłopotana Sierotka - Marysia. Milczały zawstyżone krasnoludki.

Ale oto podniósł się i przemówił król:

— Słusznie. Nie należy zrywać tak rzadkich roślinek, jakimi są te prześliczne górskie gwiazdeczki, szarotki. Dziś jeszcze, Marysiu - Sierotko, znajdują się one na moim miejscu, wysoko w górach.

— Ależ, królu kochany, — zaczęły protestować krasnoludki — jeśli je odnieśliśmy, znowu wpadniesz w smutek.

— Nie bójcie się, przyjaciele, — król na to. — Tak mnie uradowaliście swoim do mnie przywiązaniem, że tej radości starczy mi na całe życie. A teraz marsz w drogę, na szczyty!

I dzielny król krasnoludzki pomaszerował pierwszy z szarotkami, a za nim wszystkie krasnoludki.

Już są coraz bliżej gór i, jak im dobrze pójdzle, jeszcze dziś staną na szczycie.

K O N I E C

Uśmiechnij się!

Mistrz do wszystkiego

Zacerować pończochę?! Phi, to praca niegodna mężczyzny (niech to mama zrobi, wytyżając nad igłą do późna w nocy oczy, zaczerwienione ze zmęczenia...)

Połamiał się stółek? Od tego jest stolarz, żeby naprawił, (a jeśli niema w domu pieniędzy na stolarza, to niema i stolka w pokoju...)

Iść z paczką na pocztę, jak posłaniec? Jak to wygląda? Nie wypadal!

...Ale jeśli by ktoś powiedział tak mówiącemu panu, że jest niezdolnym do samodzielności, fujara, toby oniemiał z oburzenia... A jednak tak jest. Człowiek, który pogardza jakąkolwiek pracą, który uważa, że poniżają go drobne zajęcia praktyczne, popada w niewolę tych, którzy te prace spełniają. Mocą przyzwyczajenia, mocą braku „treningu” uzależnia się coraz bardziej od innych, nie mówiąc już o tem, że nieraz człowiek taki staje się istnym pasorzytem, wyzyskującym otoczenie. Trzeba bowiem zawsze go obsługiwać, zawsze wszystko koło niego zrobić, gdyż on sam tego nie umie. Spoczątku ma jeszcze skrupuły i mówi: bardzo cię przepraszam, że cię obarczam, tem, tamtem, owem, ale widzisz, jaki ja biedny: sam tego nie potrafię. A później za to nie przeprasza, bo przyzwyczał się i uważa, że to mu się należy.

To nie po harcersku. To niegodnie.

Nasza samodzielność musi wyrazić się zarówno w naszych przekonaniach, jak i w naszych umiejętnościach. Musimy wyrobić w sobie szacunek dla każdej pracy. Niema zajęć poniżających (oprócz tych, które mają cel niegodny). Poniżające są natomiast przesady, że tego, lub owego czynić nie wypada, poniżające jest uchylanie się od drobnych wysiłków, które mogą ulżyć pracodawnej matce, oszczędzić niepotrzebnych wydatków chudej kieszeni ojcowskiej, które uczynić nas mogą prawdziwie przytecznymi dla otoczenia.

Zrobić coś z niczego, nie przepuścić żadnej roboty, która w pobliżu nas na dokonanie czeka, szukać i szperać — coby jeszcze i gdzie naprawić i załatać, czego by się jeszcze z robót praktycznych nauczyć — oto, co nas powinno trapić. Harcerskim typem jest „mistrz do wszystkiego”, co to w każdym wypadku da sobie radę, sam wszystko zrobi, wszystkiemu zaradzi; chłopak-zuch co umie pracować i chce pracować. Usamodzielnimy się prawdziwie wtedy, gdy będziemy mieli to głębokie przekonanie, że każdej pracy damy radę, a przekonania tego nie nabędziemy, czekając z założonemi na brzuszku rękami, aż ono na nas spłynie z niebiosów, ale nabędziemy je z młotkiem, igłą i innemi narzędziami w rękę.

Trzeba nam jak najwięcej „mistrzów do wszystkiego”!



Bądź spostrzegawczym!!

*Jaki błąd widzisz
na tym rysunku?*

Rozrywki umysłowe

UWAGA, mali przyjaciele!!! Krasnoludki ogłaszają konkurs-wścigi, dla swoich pilnych czytelników. W każdym numerze „Krasnoludków” będzie w dziale rozrywek jakaś zagadka, układanka, rebus. Za dobre rozwiązanie będzie się liczyło punktów. Kto pierwszy otrzyma 50 punktów otrzyma w nagrodę piękną książeczkę albo grę albo... niespodziankę jaką.

Zaczynamy od tego numeru. Przy każdej zagadce, rebusie będziemy pisali ile się liczy punktów za rozwiązanie.

Logogryf

(Za rozwiązanie 3 punkty).

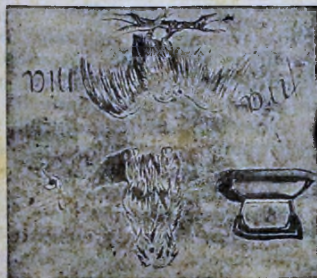
Odgadnąć 11 wyrazów o podanem znaczeniu. Początkowe litery dadzą rozwiązanie. Znaczenie wyrazów:

1. — Zwierzę domowe. 2. — Miejsce zranione. 3. — Korab Noego 4. — Duży pokój. 5. — Część ciała. 6. — Praca oracza, 7. — Zbiór drzew (l. mn.). 8. — Część twarzy, 9. — Podarunki. 10. — Część drzewa. 11. — Przyrząd do szycia.

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11

Rebus

(za dobre rozwiązanie 5 punktów).



Humor

Gospodarz ogrodu owocowego skarży się swojej sąsiadce, że jej chłopiec kradnie w jego ogrodzie jabłka, dlatego też te nowe majtki są tak porwane, gdyż łązi w nich po wszystkich płotach i drzewach.

„Ach ty urwisie!”, mówi matka do syna, „czy nie mogłeś włożyć stare majtki”.

Nauczyciel: — Jak się pisze piesek?

Milczenie.

— No, jak się pisze piesek? Co ma na kofcu?

Uczeń: — Ogonek.

W klasie podwstępnej nauczyciel wyjaśnia malcom zawilności matematyki.

— Twoja mamusia poszła do sklepu kolonialnego. Wzięła tam soli za 10 groszy, mąki za 20 groszy i ryżu za 50 groszy. Ile musiała zapłacić?

— Nie!

— Jakto, Zbyszku?

— No tak, bo przecież sklep kolonialny należy do tatusia, proszę pana.



Już niedługo będziemy sypiac na wycieczkach w namiotach

Nasze listy

Jelgawa.

Kochanym i drogim przyjaciółkom i przyjaciołom serdecznie dziękujemy za życzenia świąteczne. Teraz czekamy wazszych liścików, nie trzeba przecieży żeby takie piękne listy zbiorowe były ostatnimi.

Daugawpils.

Czesł Klennik. — Życzenia Twoje otrzymaliśmy i serdecznie Ci za nie dziękujemy.

Zygmus Raubiszko — Kochany Chłopcze! Jak możesz tak myśleć? Wszystko co mi o sobie i swoich sprawach piszesz jest ciekawe i interesujące. Cieszę się, żeśmy się poznali. Jak widzisz ten numer już jest powiększony, ale wydawanie co tydzień takiego numeru jest zależne tylko od ilości prenumeratorów. Jak będzie ich więcej to i my możemy wydawać pismo większe. Oczywiście staramy się drukować i poważniejsze rzeczy, no ale dotychczas nie mieliśmy dużo miejsca. Przypuszczam że z czasem będzie wszystko. Napewno zainteresuje Cię dział harcerski. Łamigłówkę wydrukujemy. A staniesz do konkursu — wyścigu? co? Czekamy na listy od Ciebie i twoich przyjaciół. Czuwaj!

Liepaja.

Renia Chmielowska. — Dziękuję Reniu za życzenia i fotografie. Dzięki niej poznałem ciebie i Twoich bliskich. Choć teraz już napewno jesteś duża panna, prawda? Pisałaś mi o przerwie w dostarczaniu gazety. Czy brakuje Ci jakiego numeru? Napisz mi jakiego to ja tu w Redakcji poszukam, może będzie ten numer, tobym Ci go przysłał. Pozdrawiam Ciebie i Twoich bracišków, Mamusi i Tatusiowi pozdrowienia.

Tadzio Chmielowski. — Liścik Twój otrzymałem. Odpiszę Ci oddzielnie. Spróbuję coś poradzić. Cieszę się, żeś napisał do mnie.

Zosia Jakowicz. — Ach, Zosiu, dlaczego tak długo nomyślałaś się żeby napisać do nas! Aż od Bożego Narodzenia! Ale teraz kiedy już jesteśmy przyjaciółmi tego nie będzie, dobrze? Pisziesz bardzo ładnie i starannie. Czekam na bajeczki i wierszyki. A na Wielkanoc Krasnoludki miały tak dużo pracy, że tylko w nocy mogły popatrzeć na swoich przyjaciół. Byliśmy i u Was i patrzyliśmy jak śpiąc w swoich łóżeczkach śnicie o nas. No, a jak myślicie o nas to my tak jakbyśmy byli z Wami. Do lata jeszcze daleko. Jeszcze listeczków niema na drzewach, jakże możemy wiedzieć gdzie latem pojedziemy? Braci pozdrów, a tego małego braciszka ucałuj odemnie, dobrze? Rodzicom pozdrowienia.

Walercia Gruszkiewiczówna. — Nas ciekawi Walerciu wszystko i dlatego pisząc do nas liściki możesz pisać o wszystkim co Ciebie ciekawi i interesuje. Cieszymy się, że pisząc do nas chcesz być naszą przyjaciółką. Napewno masz braci, siostry, pisz nam o nich, chcemy poznać Twoją całą rodzinę. Czekamy Twoich liścików. Tymczasem pa, Kochanie.

Ryga.

Janina Spirydowiczówna. — Kochanie, nie tylko w lesie mieszkamy. O ile czytasz uważnie Krasnoludki to napewno z naszych odpowiedzi wiesz, że jesteśmy wszędzie. Cieszymy się, że nas chcesz poznać. Napewno będziemy dobrymi przyjaciółmi. A dlaczego chcesz do nas do lasu iść żeby poznać cuda? Czyż mało jest cudów koło nas? Czyż nie cudownie świeci słonko? Czyż nie cudownie rozwijają się teraz maleńkie listeczki? Prawda? Tylko ślepki trzeba szerzej otworzyć i zaraz się to wszystko zobaczy. Ale jest przytem i warunek. Żeby to wszystko widzieć niemożna być złym i nadąsamym. Trzeba być uśmiechniętym i dobrym. Napisz jeszcze do nas Janinko. Dowidzenia.

Adres „Krasnoludkow“: Redakcja „Nasze Życie“, Riga — Dzirnavu 57. „Krasnoludki“

Drukarnia „RITI“, Riga, Dzirnavu iela Nr. 57.